

Piękno sięga jedynie skóry, natomiast
brzydota przenika do kości.

LIZ NUGENT

POD SKÓRĄ

 WIELKA LITERA

[fragment książki](#)

Zastanawiałam się, kiedy dojdzie do stężenia pośmiertnego i czy już wystąpiło.

Zebrałam potłuczone szkło, zmyłam krew z podłogi i stwierdziłam, że muszę wyjść. Ominęłam to ostrożnie – ominęłam ostrożnie jego – i zamknęłam się w łazience. Wzięłam prysznic najszybciej, jak mogłam. W pękniętym lustrze nad umywalką zobaczyłam nabiegłe krwią oczy i spuchniętą twarz. Umalowałam się drżącymi rękami i wysuszyłam włosy. Wróciłam do pokoju, gdzie nie mogłam nie spojrzeć na to leżące bezwładnie cielsko. Nakazałam sobie spokój. Otworzyłam szafę i chwyciłam pierwszą rzecz, jaka wpadła mi w ręce. Jedwabno-kaszmirowa sukienka była już przetarta, ale niczego lepszego nie miałam. Musiałam wyjść. Nie mogłam trzeźwo myśleć, kiedy tak leżał, ten zakrwawiony potwór.

Wąskimi brukowanymi uliczkami ruszyłam do ulubionej kawiarni, wstępując po drodze po papierosy. Zamówiłam małą czarną i wypiłam ją wciąż trzęsącymi się rękami, obserwując turystów, dla których telefony i mapy były ważniejsze niż piękno Morza Śródziemnego po drugiej stronie ulicy.

Miałam w torebce dwadzieścia pięć euro, bo tylko tyle zostało mi do następnych alimentów. Za mało, bym mogła uciec.

Powtarzałam sobie, że coś się wydarzy, że ktoś mi pomoże. Musiałam zachować spokój. Musiałam udawać. Byłam w tym dobra.

Dochodziło południe i świeciło październikowe słońce. Za mocno. Za jasno jak dla mnie. Cały świat był dla mnie za jasny. Postanowiłam przejść się promenadą. Spotkam kogoś, myślałam, wiem, że kogoś spotkam. Ktoś się pojawi i dotrzyma mi towarzystwa. Nie muszę nic nikomu mówić. Rozwiązanie nasunie się samo. Musi. Pierwszy raz od dziesiątków lat moje myśli zwróciły się ku Bogu. Żałowałam, że nie jestem wierząca. Potrzebowałam boskiej interwencji.

Jak zawsze moje oczy przyciągnęło morze. Błękitne, delikatnie omywające kamyki na brzegu. Przesłonił je widok zakrwawionych zwłok. Wyrwałam kosmyk włosów, by go odpędzić.

Zbliżając się do Negresco, zakołysałam biodrami, podniosłam głowę i szłam przed siebie coraz pewniejszym krokiem, aż pozory stały się rzeczywistością. Przypomniało mi się, jak tatuś sadzał mnie na kolanie. „Jesteś wyjątkową dziewczynką, Delio O’Flaherty”, mówił, rozczesując moje splątane włosy starym szylkretowym grzebieniem. Miał rację. Jestem wyjątkowa. Weszłam do hotelu.

W barze usiadłam w dużym fotelu z widokiem na wejście, w rogu sali. Od tygodnia prawie nic nie jadłam. Puszka tuńczyka i bagietka wystarczyły mi na trzy dni. Teraz już wiedziałam, że będę potrzebowała pieniędzy na ucieczkę. Ale byłam w odpowiednim miejscu. Do Negresco wpadali czasem moi bogaci znajomi na popołudniową herbatkę, mimo że lubili narzekać na prostactwo turystów. Któryś z nich na pewno będzie mógł przelać mi pieniądze elektronicznie; w dzisiejszych czasach to takie łatwe.

Do czwartej ręce przestały mi drżeć i gdy piłam drugą kawę, zobaczyłam przed wejściem ubranych galowo Harolda i Ranię Crossów. Pomachałam do nich, ale chyba mnie nie zauważyli. Harold miał laskę i był w pelerynie, więc pewnie szli do opery. Myślałam, że wejdą, lecz odwrócili się na pięcie i szybko odeszli, jakby zapomnieli czegoś ważnego.

Próbowałam sobie przypomnieć, kiedy widziałam ich ostatni raz. Chyba cztery lata temu na przyjęciu w konsulacie

brytyjskim. Próbowałam namówić Ranię, żeby kupiła ręcznie robioną biżuterię, którą ze sobą przyniosłam, ale powiedziała, że... Nie, może to nie była ona. W każdym razie ten ktoś stwierdził, że biżuteria jest tandetna. To nie mogła być Rania, ona nigdy by się tak nie wyraziła. Na miłość boską, przecież byliśmy przyjaciółkami. Pomogłam jej kiedyś wyjść z depresji. Niemożliwe, to nie była ona. Wszystko jedno. Stare dzieje. Czy ten ktoś, ta kobieta, która nie mogła być Ranią, powiedziała, że biżuteria jest tandetna, czy że ja jestem tandetna? Ostatnio tyle rzeczy ginie we mgle zapomnienia.

Kosztowną kawę serwowano z orzeszkami, oliwkami i *biscotti*, ale co to za posiłek? Do baru nie wszedł już nikt ze znajomych. W fotelu po drugiej stronie sali jakiś mężczyzna czytał „New York Timesa”. Dotąd nie zwracałam na niego większej uwagi, ale o wpół do szóstej byłam już strasznie głodna, więc gdy kelner podał mu do stolika stek z frytkami, zaczęłam ukradkiem go obserwować. Od ciepłego zapachu ścisnęło mnie w żołądku. Kelner zasugerował, że w restauracji byłoby wygodniej, lecz mężczyzna odparł, że na kogoś czeka. Okazało się, że na swojego dilerka, i kiedy młody, niechłujny chłopak stanął w progu, mężczyzna dopił piwo, szybko wstał i wyszedł z nim na zewnątrz. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że dokonali tam szybkiej transakcji. Zabrał ze sobą gazetę, więc pomyślałam, że już nie wróci. Prawie nie tknął jedzenia. Patrząc, jak stek stygnie, wierciłam się w fotelu całe pięć minut, a potem usiadłam na jego miejscu i chwyciłam sztucce, które przed chwilą zostawił. Już miałam włożyć do ust pierwszy kęs, gdy nagle...

– Co pani robi, do cholery?!

Zaczerwieniłam się jak burak. Nie miałam żadnego wytłumaczenia. Mimo to spróbowałam jakieś znaleźć.

– Przepraszam – wyjąkałam. – Jestem ekolożką. Nie znośzę widoku marnującego się jedzenia.

Nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

– Większej bredni w życiu nie słyszałem – powiedział głośno. Amerykanin. Dzięki Bogu, że w pobliżu nikogo nie było.

Machnięciem ręki wezwał kelnera. Bałam się, że każe mi wyjść, ale...

– Jeszcze raz to samo – powiedział. – Do tego zimny budweiser i... – Zerknął na mnie. – Co pijesz, skarbie?

Kelner spojrział na mnie z cieniem pogardy na twarzy.

– Nie wiedziałem, że żona do mnie dołączy – dodał Amerykanin.

Chłopak wiedział, że to kłamstwo. Przechodził obok nas kilka razy. Widział, że nic nas nie łączy i że godzinami piłam jedną kawę, ale zrozumiałem, że może nie dostać napiwku, doszedł do wniosku, że klient ma zawsze rację. To dodało mi pewności siebie.

– Kieliszek różowego – odparłam, patrząc na niego bezczelnie.

Milczeliśmy, dopóki nie odszedł.

– Na co pani czeka? Niech pani je.

Wzięłam sztucę i zaczęłam jeść dużo wolniej, niż nakazywał mi apetyt. Stek był dobrze wysmażony. Szkoda.

– To co? Powie mi pani, dlaczego mam za panią płacić?

– Przepraszam. Pewnie uważa pan, że jestem okropna, ale naprawdę, nie robię tego... Po prostu...

– Problemy finansowe?

– Nie, nie, ja tylko... zapomniałam torebki i...

Wskazał moją kopertówkę.

– Spróbuj pani jeszcze raz?

– Nie mogę... Muszę... Czekam na...

– A co mi tam, mam to gdzieś. Chce pani iść na imprezę?

– Mogę najpierw dokończyć?

Roześmiał się, jak potrafią się śmiać tylko brzuchaci mężczyźni.

– Masz jaja, moja damo, trzeba ci to oddać.

Wzdrygnęłam się w środku na tę wulgarność, ale rozciągnęłam usta w uśmiechu.

– Mam na imię Cordelia.

– Sam. – Wyciągnął do mnie rękę i moja dłoń zginęła w jego olbrzymim łapsku. On też się uśmiechnął.

– Spędzasz tu urlop, czy tu mieszkasz? Jesteś Angielką, prawda?

Nie zamierzałam go poprawiać.

– Przyjeżdżam tu na lato. W Londynie się duszę. Chciałabym zostać do końca miesiąca.

– Mogę zapytać, z czego będziesz żyła? Nie wyglądasz na taką, która powinna chodzić głodna. Cholera, mówisz jak angielska królowa!

– To jedynie przejściowe trudności. Zimą robię w domu biżuterię, a mój znajomy sprzedaje ją tu latem. Właśnie czekam na przelew. To tylko krępujący wypadek przy pracy, naprawdę.

Kelner przyniósł stek i jedząc, prowadziliśmy uprzejmą rozmowę, jakby w moim mieszkaniu nie leżał zakrwawiony trup i jakby wszystko było normalnie. Nie zadawaliśmy sobie osobistych pytań o partnerów czy o dzieci. Już na samym początku zawarliśmy nieme porozumienie, że nie będziemy wtykali nosa w nasze prywatne sprawy. Był schludny i dobrze ubrany. Ale zupełnie nieatrakcyjny. Postanowiłam go rzucić. Choć nie od razu. Później. W odpowiednim momencie. Najpierw musiałam oskubać go z pieniędzy.

Dwie godziny później staliśmy ściśnięci w kabinie toalety jak szprotki w puszcze. Na czubku głowy miał gładką, opaloną łysinę. Z rzadkimi włosami dookoła. Wyglądała jak tonsura. Odchylił się gwałtownie do tyłu, pociągnął nosem i zawołał:

– Chwała Najwyższemu! – Jak kaznodzieja.

Wciąż byłam trochę zdenerwowana.

– Ciii... Chcesz, żeby nas nakryli? – O ironio. Posiadanie kokainy byłoby najmniejszym z moich przestępstw.

– Nakryli? – powtórzył z uśmiechem. Z przedpokoju dobiegał śmiech i odgłosy wachania, więc zrozumiałam, o co mu chodzi.

Podał mi zwinięty w rurkę banknot, a ja pochyliłam się nad rezerwuarem i wciągnęłam do lewego nozdrza kreskę drobniutkich białych kryształków. Ku mojemu rozczarowaniu zabrał mi banknot. Pięćdziesiątkę. Ściskając nos, podniosłam głowę i spojrzałam w lustro. Makijaż był nietknięty. Poprawiłam tylko usta wiśniową szminką. Uśmiechnęłam się do jego odbicia. Wtedy objął mnie i przytulił, szybko i z zadziwiającą siłą.

– Boożeee – rzucił, przeciągając samogłoski. – Jesteśmy na to za starzy. – Otworzył drzwi i wyszedł.

Odczekałam chwilę, a potem też wmieszałam się w tłum. Ale w uszach wciąż pobrzmiwały mi jego słowa. Musiał mieć sześćdziesiąt, sześćdziesiąt pięć lat, a więc był co najmniej dziesięć lat starszy ode mnie.

Ile lat ma ten w moim mieszkaniu? – pomyślałam. Trzydzieści trzy. Nie ma, tylko miał. Miał trzydzieści trzy lata. Tyle, ile Jezus, kiedy go ukrzyżowano? Chyba tak. Przypomniały mi się lekcje religii, inna epoka.

Idąc do salonu i grzebiąc w torebce w poszukiwaniu papierosów – strasznie chciało mi się palić – wzięłam margarytę z tacy przechodzącej obok kelnerki. Jak by tu wykorzystać Sama? Mógłby mi pomóc? Czy dać sobie spokój i po prostu świsnąć mu portfel? Musiało tu być mnóstwo portfeli i torebek. Już miałam zapalić, gdy ubrany w czarny frak mężczyzna wskazał taras, dając mi do zrozumienia, że powinnam wyjść. Nie wiedziałam, czy to gość czy kelner. Dzisiaj trudno ich rozróżnić. Ale posłałam mu dworny uśmiech i wyszłam.

Niewidzialna ręka zamknęła za mną drzwi i poczułam się tak, jakby ktoś mnie z czegoś... Nie. Poczułam się tak, jakbym sama się z czegoś wykluczyła.

Na tarasie było cicho i spokojnie. Jesienny chłód nie zachęcał do wychodzenia na dwór. Zakłopotana sytuacją w salonie, zostawiłam zapalniczkę na cokole okrytym złocistą tkaniną. Musiałam więc podejść do dwóch chudych Rosjanek

w kusych jedwabnych sukienkach, które z trudem balansując na niebotycznych szpilkach, kulily się przed lekką morską bryzą. Jedna z nich podała mi zapalniczkę wysadzaną sztucznymi brylantami. Nawet na mnie nie spojrziała, ale zważywszy zapalniczkę w rękę, stwierdziłam, że brylanty nie są sztuczne, tylko prawdziwe. Uśmiechnęłam się pobłaźliwie i spróbowałam nawiązać rozmowę, lecz dziewczyna tylko przewróciła oczami i wyrwała mi ją z ręki, jakbym była złodziejką. Głupia suka.

Kiedy odchodziłam, roześmiały się ordynarnie i wiedziałam, po prostu wiedziałam, że śmieją się ze mnie. Impreza odbywała się w penthousie i jechaliśmy z nimi windą. Wisiały na ramionach starego aktora, którego rozpoznałam, choć nie pamiętałam jego nazwiska. Grał w dziesiątkach filmów. Na pewno nominowano go do Oscara. Uśmiechnęłam się do niego promiennie, udając, że wiem, kim jest. Kiedyś pamiętałam takie szczegóły.

Chyba mogłabym być aktorką. Udawanie kogoś innego nie jest trudne. Czyż nie robiłam tego prawie całe życie? Wciąż mogłabym spróbować. W Los Angeles, nad Pacyfikiem. Mam bardzo hollywoodzkie zęby i strukturę kostną. Pewien kochanek powiedział mi to w zeszłym roku. Na imprezie byli producenci filmowi. Sam musiał ich znać. Był autorem zdjęć do filmu, którego premierę oblewaliśmy, przynajmniej tak mówił, ale wydawało się, że nie zna zbyt wielu osób. Nikomu mnie nie przedstawił i tylko jeden przystojniak po trzydziestce skinął mu głową. Widziałam Sama teraz przez okno. Rozmawiał z tym właśnie mężczyzną, lecz go nie słuchał. Znałam kokainistów. W tym momencie interesowała go jedynie papierowa torebka w cienkiej, srebrnej papierošnicy w wewnętrznej kieszeni marynarki. Liczył, kalkulował, kiedy będzie mógł wciągnąć kolejną kreskę i gdybym teraz do niego podeszła, nie pamiętałby pewnie, jak mi na imię. Chociaż ja też brałam kokainę, sporadycznie i w celach towarzyskich, to nie wpadłam w nałóg. Ale tego wieczoru

bardzo jej potrzebowałam. Potrzebowałam wszystkiego, co tylko wpadłoby mi w ręce i pomogło zapomnieć.

Gwałtowna eksplozja hałasu i drzwi ponownie się zamknęły. Weszła kelnerka z tacą, na której stały tylko dwa kieliszki. Chciałam wypić obydwa. Musiałam. Kelnerka była zawiedziona, że na tarasie w ogóle ktoś jest. Udałam, że na kogoś czekam, oddałam jej pusty kieliszek koktajlowy, a ona postawiła drinki na białym żelaznym stoliku, przy którym stało takie samo krzesło.

– *Madame.*

– *Merci.* – Celowo wydmuchałam dym z dala od jej twarzy. Czekałam, aż odejdzie, lecz przystanęła obok krzaka w doniczce i zaczęła bawić się telefonem. Miałam nadzieję, że zaraz sobie pójdzie. Usiadłam i popatrzyłam na promenadę, na morze.

Od portu po mojej prawej stronie aż po Cap d'Antibes po lewej mrugały światełka. W zatoce kołysały się wesoło jachty od masztu do masztu przybrane sznurami jarzących się kolorowo żarówek. Po wodzie niosło się ciche echo śmiechu. Przypaliłam papierosa od papierosa i zgasiłam niedopałek w kryształowej popielniczce. Zastanawiałam się, czy zmieściłaby się w mojej torebce. Ot, mała pamiątka. Kieliszek był za duży.

Od strony zatoki znów dobiegł wysoki, dźwięczny śmiech. Kiedyś to ja śmiałam się na takich jachtach. Kiedyś to ja nosiłam mini w londyńskich klubach. Kiedyś to ja błyskałam brylantowymi bransoletkami i paliłam ekskluzywne papierosy. Kiedyś to ja byłam młoda i piękna.

A teraz jestem morderczynią w średnim wieku. Szybko odpędziłam tę myśl.

Wyprostowałam nogi, opalone i wciąż zgrabne. Wsunęłam rękę pod stanik i poprawiłam piersi w miseczkach. Ktoś stłumił kasznięcie. Kelnerka. Jeszcze nie odeszła. Widziała, jak niezgrabnie podciągam biust. Przeniosła wzrok na ekran komórki, który rozświetlał jej małą twarz. Ona też paliła. Paliła i grzebała w telefonie w obecności gościa, na pewno

wbrew zasadom, dlatego przestało mnie obchodzić, że działa również, jak piję drinka przeznaczonego dla mojego wyimaginowanego towarzysza.

Spojrzałam na nią i zastukałam w stolik, żeby zwrócić jej uwagę.

– *Une autre, s'il vous plaît?* – Wskazałam kieliszek.

Dziewczyna ciężko westchnęła, zgasła papierosa w plastikowej trawie i wyszła z tacą pod pachą. Tłący się niedopałek zmienił zielone źdźbła w unoszące się na wietrze czarne przecinki.

Czekałam, próbując zebrać myśli, żeby nie porwał ich dochodzący z salonu hałas. Kiedy przyszliśmy, powiodłam wokół wzrokiem w poszukiwaniu starych znajomych, ale ci tutaj byli młodszy, bardziej rzucający się w oczy i pewniejsi siebie niż my kiedyś. Nie znałam nikogo. Przeważali Amerykanie. A ich trudno jest oszacować. Nigdy nie wiadomo, czy są dziedzicami starych rodzinnych fortun czy nuworyszami. Poza tym tragicznie się ubierają. Mężczyźni chodzą w niebieskich džinsach i białych adidasach. Kobiety stroszą włosy i noszą za dużo biżuterii. Rok temu spotykałam się z facetem z Dakoty – nie pamiętam już, południowej czy północnej – który kazał mi przejść plażą prawie kilometr tylko dlatego, że sprzedawali tam colę o pięć centów tańszą niż w pierwszym klubie, do którego zajrzeliśmy. Rzuciłam go, kiedy zabrał mnie do opery i posadził pod sufitem, w rzędzie najtańszych miejsc. Chryste, pod samym sufitem!

Kelnerka nie wróciła, zapalniczka została w salonie, oba kieliszki były już puste. Wstałam i zachwiałam się lekko. Wypiłam przedtem trzy koktajle i kieliszek wina. Postanowiłam, że wypiję jeszcze jednego drinka, a potem spróbuję wyciągnąć od Sama trochę kasy. Tylko jednego. Otworzyłam drzwi i w twarz uderzyła mnie muzyka, aranżacja na bębny i gitarę basową, od której natychmiast rozboleły mnie uszy. Czułam, że długo tego nie zniosę. Poszukałam wzrokiem kelnerek, ale wszystkie kręciły się teraz przy barze i musiałam stanąć

w kolejce. Wykrzyczałam zamówienie, lecz zanim barman zdążył mi nalać, za moimi plecami wyrósł Sam, który położył mi rękę na ramieniu i krzyknął do ucha:

– Tu jesteś! Masz ochotę? – Poklepał się znacząco po górnej kieszeni.

Wisiała na nim jedna z Rosjanek, tych z tarasu.

– Nie, dziękuję – odparłam.

Byłam zawiedziona, bo myślałam, że się mną interesuje i chociaż zupełnie mi się nie podobał, jeszcze bardziej nie podobało mi się to, że próbuje go wyhaczyć ta mała zdzira. Poszli przypudrować nosy. Piłam drinka w nieskończoność. Obok mnie stała miło wyglądająca dziewczyna, więc spytałam ją, który z rozmawiających w kącie mężczyzn jest producentem filmowym.

– Ja – odparła lodowatym głosem mieszkanki Nowego Jorku i odwróciła się do mnie tyłem. Jaka drażliwa.

Sam nie wrócił. Nikt ze mną nie rozmawiał, ale przestało mi na tym zależeć. Po sali znowu krążyły tace z drinkami. Stopniowo uodporniałam się na poziom dźwięku i – jeśli to poprawne określenie – na muzykę techno, która powoli rozpuszczała mi kości. Wpłynełam seksownie na parkiet i zatraciłam się między pięknymi, młodymi ludźmi, wspominając noce spędzone w klubach Mayfair. Zamknęłam oczy i wyciągnęłam ręce do nieba. Było mi dobrze. Było mi wspaniale.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam śmiejącego się nastolatka – pokazywał mi palcem, krzycząc coś w języku, którego nie rozumiałam. Większość ludzi też się śmiała, zagłuszając nawet muzykę. Spojrzałam w dół, tam gdzie pokazywał. Moja sukienka pękła na szwie od pachy po biodro, odsłaniając stary beżowy gorset i fałdkę skóry pod pachą. Ja też się roześmiałam. Bardziej zależało mi na tym, żeby tańczyć dalej.

Mgłście pamiętam, że jakiś czas potem podszedł do mnie Sam, który zaproponował, żebyśmy pojechali do mnie. Rosjanki musiały stracić zainteresowanie.

– Musimy odstawić cię do domu, złotko.

Spytałam głośno, dlaczego nie możemy pójść do niego, do jego pokoju w Negresco.

– I obudzić moją żonę? – odpowiedział pytaniem, a ja uznałam, że jest to najzabawniejsza rzecz, jaką w życiu słyszałam. Dodał, że podrzuci mnie „bez żadnych zobowiązań”, ale odmówiłam. Byłam szczęśliwa. Naprawdę szczęśliwa.

Głowa bolała mnie tak bardzo, jakby z czaszki wyparował cały płyn mózgowy. Otworzyłam oczy, zobaczyłam światło dnia i brudny parkiet. Wszystko pod złym kątem. Ktoś mnie szturchał. Zrozumiałam, że musiał urwać mi się film.

– *Madame*. – Kelnerka, palaczka z tarasu. – *On doit partir, maintenant, s'il te plaît*.

Tè. Koniec z uprzejmością.

Spadłam, jakby w górę, i wstałam, przytrzymując się jej ramienia. Odsunęła się gwałtownie i podała mi żółtą płócienną marynarkę. Barmańską.

– Niech się pani okryje – rzuciła po angielsku. Jej znieśmaczone spojrzenie przypomniało mi o pękniętym szwie. Wsiadłam chwiejnie do windy i wyszłam na ulicę.

Po lewej stronie wschodziło słońce, skrząc się w bezkresnej tafli błękitu.

Ruszyłam powoli przed siebie. Nie chciałam iść do domu.

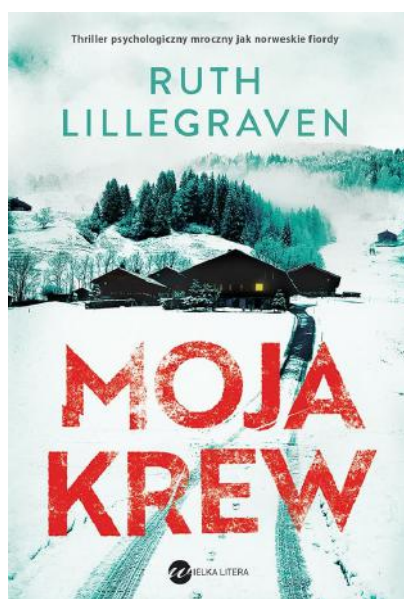
Szłam niepewnie, bo horror znowu powrócił. Nikt mi nie pomógł. Nie mogłam nic zrobić. Wpatrywałam się w twarze ludzi, ale byli to głównie imigranci, budowlańcy w kombinezonach i spieszące do pracy nianie w mundurkach. Tylko ja wracałam do domu o tej porze. Do domu, cokolwiek to teraz znaczyło.

Wchodząc do mieszkania, usłyszałam ciche brzęczenie i poczułam ten zapach.

Za wcześnie, pomyślałam.

Nie przypuszczałam, że dojdzie do tego tak szybko, ale nie stać mnie było na klimatyzację. Muchy już się zleciały, już biesiadowały na trupie.

Mogą Cię także zainteresować:



Zapraszamy na wielkalitera.pl